

Trzy mamuśki "K" — Zdzisław

Od autora: wspomnienie

(fragment nowo pisanych wspomnień. Czas akcji - druga połowa lat 80. XX wieku, miejsce - młodzieżowy hufiec OHP)

(...)

W tych latach jeszcze osiemdziesiątych, jak chyba w każdym internacie gdzie mieszkała ucząca się młodzież, na korytarzu I piętra, naprzeciw dyżurki wychowawcy wisiały duże tablice z wynikami współzawodnictwa. Każdy z uczestników był tam wymieniony indywidualnie. Frekwencja w szkole, stopnie, zachowanie, ocena jego dwóch dni tygodniowo praktycznej nauki pracy w przedsiębiorstwie, czystość w sali mieszkalnej, działalność w kołach zainteresowań, inne osiągnięcia, wyróżnienia lub kary – wszystko to było co miesiąc sumiennie podliczane i w kolumnach wypisywane na tablicach. Ostatnią była wyciągnięta „średnia wyniku za miesiąc”. Plansze były przykryte taflami szkła, żeby się nie kurzyły, a jednocześnie chroniły przed nieuzasadnioną poprawą wyników ze strony nieuprawnionych do tego osób. W naszym przypadku byli nimi sami uczestnicy. „Wierzyć, ale pilnować” – ta zasada od wieków funkcjonowała we wszystkich społeczeństwach, od kiedy okazało się, że po wyjściu z Raju nie wszyscy ludzie zasługują na zaufanie i naiwną łatwowierność. „Strzeżonego jego przezorność strzeże” – te parafrazę znanego powiedzenia wcielałem w czyn co miesiąc po wpisaniu nowych wyników.

Tak się zdarzyło, że w jednym roku przyjęliśmy trzech chłopców, mieszkających w jednej wsi, i to po sąsiedzku przez płot. Nie dość tego – mieli podobne nazwiska i imiona na tę samą literę – Jasiu Kot, Jurek Kania i Julek Kogut. Nie mieliśmy z nimi problemów; znali się, byli zżyci i zamieszkali w jednym pokoju.

Natomiast ich mamusie – sąsiadki przez płot we wsi... Przyjeżdżały na początku każdego miesiąca, przywożone samochodem przez jednego z ojców. Rodzic zostawał na dole, natomiast „trzy mamuśki K”, jak je szybko nazwaliśmy, prawie biegiem wdrapywały się na piętro i pierwsze, co robiły, to stawały przed tablicą współzawodnictwa, pilnie wpatrując się w najnowsze osiągnięcia swoich pociech z minionego i podsumowanego już miesiąca.

Drzwi do mojego gabinetu były obok, ale w tym samym czasie przeważnie opuszczałem pokój i wchodziłem na przeciwległą dyżurkę, aby poprzeglądać dokumentację i omówić coś z wychowawcą. Chociaż każdego ranka to wykonywałem, ale nie zaszkodziło powtórzyć... zwłaszcza że w dyżurce zawsze były otwarte drzwi, dające widok akurat na ścianę z tablicą.

Nadchodząca akcja, której comiesięcznie się spodziewaliśmy i nigdy nie zawiedliśmy, rozpraszała rutynę codziennej pracy wychowawczej w internacie.

Mamuśki, kiedy tylko zapoznały się z wynikami, rozpoczynały między sobą tyradę. Tylko jedna z nich zawsze rozpromieniała twarz, często aż podpierając się pod boki:

– A widzicie! Ha! Mój Julek najlepszy! A wasze co, gorsze od mojego!

– Ee tam, te troszkę. – W kolejności odzywała się przeważnie matula drugiego w osiągnięciach. – Ale za to mój Jurek tu jest lepszy! – Wyciągniętym paluszkami wskazywała kolumnę, w której akurat jej synek dominował nad pozostałą dwójką. – O widzisz? No i co?!

– Co, co? To tylko z jednego! Tu, tu patrz, widzisz?! – Tym razem wskazujący palec pierwszej kierował się na ostatnią kolumnę, gdzie wypisana była średnia ocena z miesiąca. – To jest ważne. Tamto to bele co.

– Ale w tym mój jest lepszy!

– Ale mój we wszystkim jest lepszy od twojego!

– Ale nie z tego. – Palce, jak prokuratorskie dowody, na zmianę dziobały w szybę tablicy. – Tu mój Jurek najlepszy!

Taka wymiana zdań czasem potrafiła się ciągnąć dobre kilka minut. „Najlepszy” nie oznaczało najwyższej oceny w hufcu czy choćby w plutonie ich synków. Mamusiek kompletnie nie interesowały inne wyniki; skupiały uwagę wyłącznie na wynikach swoich trzech pociech. „Najlepszy” oznaczał lepszego od pozostałej dwójki.

Trzecia z matek, której synek w danym miesiącu znalazł się dopiero na najniższym stopniu podium ich wioskowego, sąsiedzkiego współzawodnictwa, przeważnie mało udzielała się w dyskusji; za to jej mina nie świadczyła o przeżywanej satysfakcji. Przeciwnie, emocje aż nadto wykwitwały na jej twarzy; emocje, które nie wróżyły nic dobrego dla potomka. „Tak mnie zawiódł! Najgorszy! Ja ostatnia!” – można było wyczytać jak z otwartej książki.

Dalszy przebieg przyjazdu, właściwie wizytacji synków przez mamuski, poznaliśmy już od ich pierwszego pobytu. Rodzicielka najsłabszego Jasia wchodziła do pokoiku, w którym mieszkali chłopcy, zamykając się w nim ze swoim potomkiem. Pozostała dwójka chłopców wzywana była przed tablicę; ci nie musieli się aż tak bardzo obawiać matczynych reakcji.

– Chodź, Juleczku, chodź. – Mamuska najlepszego potrafiła przygarnąć i utulić w ramionach synka, chociaż już nie był kilkuletnim szkrabem, a piętnastoletnim подростkiem. Fakt, cała ich trójka nie wyróżniała się wzrostem, ale „koledzy patrzą”. – Widzisz, jak chcesz, to potrafisz. Nie możesz tak zawsze?! Postaraj się. Masz tutaj coś dobrego – wyciągała z torby domowe wiktuały i słodkości – i jeszcze kilka złotych. Kupisz sobie, co chcesz.

Rodzicielka drugiego w wynikach nie była już tak czuła i wylewna w uczuciach, ale też nie grzmiała jak burza z piorunami. Bardziej przypominała chmurę, która mogła się rozejść ale też i przybrać ciemniejszy, przedburzowy wygląd. Nie wiedzieliśmy wcześniej, w którą stronę sytuacja się rozwinie, chociaż z praktyki można było przewidzieć. Utrzymanie się na drugiej pozycji nie groziło zapowiedzią burzy, ale spadek z pierwszego na drugie kończył się różnie. Czasem tylko matczynym pouczeniem i lekką groźbą:

– No, jak to, Jureczku – tak miękko nazywała przy utrzymaniu pozycji – nie możesz się poprawić? Wiem, że możesz. Mamusia chce tego.

Przy spadku na drugie miejsce było już groźniej i bez zdrabniania imienia:

– No, co to jest? Co to jest?! – Palec rodzicielki stukał w wyniki dwóch ostatnich miesięcy. – Tu byłeś najlepszy, a teraz? Dlaczego, Jurek? Dlaczego się opuściłeś. Mów mi natychmiast!

Chmura przeważnie się rozchodziła, jeśli synek awansował z trzeciego na drugie miejsce, porównując z

poprzednim miesiącem. Pewni rozejścia się chmury byliśmy, kiedy potomek nagle wskakiwał z trzeciego aż na pierwszy stopień na ich wioskowym podium. Wtedy twarz mamuski jaśniała jak słońce w południe, a pełne dumy spojrzenia kierowała nie tylko na sąsiadkę, ale i na tych, którzy akurat byli w pobliżu.

Co się działo w tym czasie z chłopcem, który zajął trzecie miejsce, jeszcze podiumowe ale jednocześnie ostatnie w wewnętrznym współzawodnictwie mamusiek, niezbyt wiedzieliśmy, gdyż rodzicielka miała prawo do kameralnej rozmowy z własnym potomkiem. Po to przecież również przyjechała. Nieraz dochodził z pokoju bardzo podniesiony głos kobiecy, ale przyjmowaliśmy to jako normalne, biologicznie umotywowane zjawisko; kobiety mają wyższy ton od niskiego tembru występującego u mężczyzn. Czasem odgłosy przypominające klaskanie też były proste do wytłumaczenia – nasi chłopcy w internacie chodzili w kapciach i klapkach, które wydawały taki odgłos na płytkach z PCV położonymi na podłodze w pokojach. Jedynie zdarzające się przypadki gwałtownego wyskakiwania podrostopka z pokoju i jego szybkiego zbiegania w dół po schodach mogłyby zdziwić kogoś obcego. Jednak nie nas, kadre wychowawczą – przyjmowaliśmy logicznie, że dowiedział się od mamuski iż to jego tatuś dzisiaj przyjechał samochodem i czeka przed budynkiem, więc chciał się szybko z nim przywitać.

Te sceny, mimo że powtarzane co miesiąc i przypominające dobrze znany, odtwarzany spektakl teatralny, nie nudziły nas jako widzów, gdyż aktorki i aktorzy za każdym razem zamieniali się rolami, a wypowiedziane kwestie były naładowane prawdziwymi, a nie udawanymi emocjami. Do tego, jak to „naturaściki”, świetnie je odgrywali, co nie zawsze dobrze wychodzi nawet zawodowym aktorom.

Trwało to przez pierwsze pół roku, aż wreszcie chłopcy „poszli po rozum do głowy” – umówili się, zrobili grafik i... na zmianę kto inny z nich był pierwszy w tym współzawodnictwie. Unormowało to i ustabilizowało sytuację – w jednym miesiącu każdy z nich był chwalony przez swoją mamuszkę, w drugim przechodził emocjonalnie „stany średnie” a trzeci miesiąc musiał jakoś przecierpieć. Trochę przypominało to w każdym kwartale zstępowanie z raję przez czyściec do piekła, aby już na początku następnego od razu móc wrócić do nieba. „Co znane i spodziewane to już nie tak bolesne jak nagłe i przypadkowe”.

Na początku zdarzały się im jeszcze niedokładności w obliczeniach i wtedy, jako kadra, ulegaliśmy ich prośbom w osiągnięciu właściwych wyników. Później doszli do wprawy i już sami potrafili regulować swoje osiągnięcia. Przy okazji bardzo poprawili oceny z matematyki w szkole, przynajmniej z umiejętności obliczania średniej z kilku wyników do drugiego miejsca po przecinku.

Przez całe dwa lata pobytu tej trójki kolegów w hufcu ich rodzicielki ani razu nie porównały osiągnięć swoich synów z innymi chłopcami. To było całkowicie poza ich zainteresowaniem. Rywalizacja dotyczyła wyłącznie zamkniętego, trzyosobowego kręgu sąsiadek ze wsi. Synek mógłby być we współzawodnictwie całego hufca nawet trzeci od końca, byleby pozostali dwóch było za nim.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 26.05.2023 14:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.